



Juliusz Verne

Dramat w Inflantach



ISBN 978-83-64701-68-9



Juliusz Verne



DRAMAT W INFLANTACH

Przełożyli i przypisami opatrzyli
Andrzej Zydorczak i Krzysztof Czubaszek

Trzydziesta czwarta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Tytuły oryginału francuskiego: *Un Drame en Livonie*

Wydano na podstawie licencji udzielonej przez Wydawnictwo Zielona Sowa,
które jest posiadaczem praw autorskich

33 ilustracje, w tym 6 kolorowych: Léon Benett
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2016

ISBN 978-83-64701-68-9

Wstęp

Powieść *Dramat w Inflantach* została napisana przez Verne'a na początku XX wieku i po raz pierwszy ukazała się drukiem w 1904 roku w czasopiśmie wydawanym przez Hetzela *Magasin d'Éducation et de Récréation* [*Magazyn Edukacji i Rozrywki*: druga seria, tom 19, nr 217 – tom 19, nr 228]. W tym samym roku utwór wydany został także w formie książki: początkowo w małym, a następnie w dużym formacie (19×27 cm), w woluminie pojedynczym, a także w woluminie podwójnym razem z powieścią *Pan świata*.

W Polsce powieść ta, pod tytułem *Wśród Lotyzów*, ukazywała się w odcinkach w „Wieczorach Rodzinnych” w roku 1906. Pierwsze polskie wydanie zostało mocno okrojone: znacznie skrócono lub w ogóle pominięto wszelkie dłuższe opisy, skupiając się wyłącznie na akcji. Nie wiadomo, z jakich powodów zmieniono nazwiska i imiona bohaterów: doktor Hamine stał się doktorem Paulinem, rodzina Nikoliewów – rodziną Ozolinów, Dymitr – Matiasem, Ilka – Martą. Władimir Janow przemienił się zaś w Jerzego Stuvita.

Następnie opublikowało ją w 2005 roku Wydawnictwo Zielona Sowa pod tytułem *Tajemnicze wydarzenia w Inflantach*. W roku 2009 nakładem tego samego wydawnictwa wydano tę powieść w serii „Podróże z Verne'em” pod tytułem *Dramat w Inflantach*, w przekładzie Andrzeja Zydorcza i Krzysztofa Czubaszka.

Właśnie na tej ostatniej edycji zostało oparte obecne wydanie. Tekst utworu został ponownie porównany z francuskim oryginałem, przez co uzupełniono niewielkie braki w tłumaczeniu. Następnie całość została na nowo zredagowana, jednocześnie usunięto zauważone usterki i dodano kilka przypisów. Ponadto zamieszczono wszystkie ilustracje, w tym kolorowe, pochodzące z francuskiego wydania z początku XX wieku. Mimo że publikacja Wydawnictwa Zielona Sowa była dobra, postanowiłem umieścić powieść w „Bibliotece Andrzeja”, by poszerzyć ofertę tej serii.

Powieść *Dramat w Inflantach*, chociaż nie można jej zaliczyć do utworów „z najwyższej półki”, jest godna uwagi ze względu na nietypową – jak na Juliusza Verne'a – treść, jej akcja supia się bowiem wokół zabójstwa i związanych z nim spraw – działań dochodzeniowych i śledczych policji. Niektórzy badacze twórczości Verne'a uważają, że powstała pod wpływem głośnej w tych latach we Francji afery Dreyfusa – oficera francuskiego Sztabu Generalnego, z pochodzenia Żyda, niewinnie oskarżonego i skazanego prawomocnym wyrokiem za szpiegostwo na rzecz Niemiec. Dreyfus szybko stał się idolem liberałów, pacyfistów i obrońców praw człowieka.

Drugim utworem Verne'a, którego znaczna część akcji rozgrywa się wokół sprawy zabójstwa, gdzie prowadzone jest śledztwo, rozprawa i zapada wyrok sądowy, jest wydana już w Polsce powieść *Bracia Kip*.

Dramat w Inflantach jest z pewnością ciekawa dla polskiego czytelnika, jego akcja umiejscowiona została bowiem na terenach należących przez pewien czas do Rzeczypospolitej. Wprawdzie w XIX wieku polskość Inflant była już tylko historią, lecz jednak ziemie Bałtów były zawsze bliskie naszemu sercu. Na przykład wielu naszych wybitnych rodaków studiowało na uniwersytecie w Dorpacie. Zważywszy na fakt, że żaden z utworów Verne'a nie rozgrywa się w Polsce, ta powieść jest więc nam w sensie geograficznym najbliższa.

Na tle innych powieści *Dramat w Inflantach* wyróżnia się również tym, że jej bohaterami są Słowianie. Wprawdzie problematyka narodowościowa została przez Verne'a przedstawiona dość bałamutnie, zaliczył on bowiem Łotyszy do Słowian, a cara Rosji uczynił ich opiekunem i niemalże zbawcą broniącym ich przed germanizacją, ale jednak trzeba docenić fakt, że oczy Czarodzieja z Nantes zwróciły się tym razem ku wschodniej części Europy. Polaków widoczny w powieści rusofilizm, tak charakterystyczny dla Francuzów zarówno XIX-wiecznych jak i współczesnych, może razić, wychwalanie zaś cara za rusyfikację Inflant wręcz oburzać, zważywszy na nasze historyczne doświadczenia, jednak na te problemy należy patrzeć z perspektywy zmagania się żywiołu germańskiego ze słowiańskim. W tej walce zaś Verne, żywo pamiętający wojnę francusko-pruską (1870-1871) oraz utratę przez Francję na rzecz Niemiec Alzacji i Lotaryngii, stał bezwarunkowo po stronie Słowian.

Andrzej Zydorczak



Rozdział I

Przekroczenie granicy

Pośród ciemnej nocy jakiś samotny człowiek przemykał jak wilk pomiędzy złomami lodu nagromadzonymi w wyniku długiej, mroźnej zimy. Ocieplane spodnie, chałat¹ – rodzaj szorstkiego płaszcza zrobionego z krowiej sierści – oraz czapka z opuszczonymi nausznikami niezbyt dobrze chroniły go przed uderzeniami północnego wiatru. Jego wargi i ręce pokrywały bolesne spęknięcia, a końce palców zupełnie zeszywniały. Poruszał się w głębokich ciemnościach. Chociaż był początek kwietnia, to na szerokości geograficznej pięćdziesięciu ośmiu stopni chmury przesuwały się nisko nad ziemią, grożąc w każdej chwili opadami śniegu. Posuwał się cały czas naprzód, obawiając się, że gdy się zatrzyma, nie będzie miał już sił iść dalej.

Jednakże około jedenastej człowiek ów przystanął. Powodem tego nie był fakt, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zabrakło mu oddechu czy też pokonało go zmęczenie. Nie, jego energia fizyczna dorównywała sile moralnej. Zatrzymawszy się, mężczyzna zawołał silnym głosem, w którym brzmiała miłość ku rodzinnej ziemi:

– Nareszcie jestem na granicy!... Granicy Inflant!... Granicy ojczyzny!

Objął szerokim gestem przestrzeń rozciągającą się przed nim w kierunku zachodnim. Uderzył silnie nogą o ziemię pokrytą białym całunem, jakby chciał zostawić ślad na zakończeniu ostatniego etapu swej podróży.

Przybywał z daleka, z bardzo daleka. Przebył tysiące wiorst², odważnie stawiając czoła wielu niebezpieczeństwom, pokonując je swoją inteligencją i siłą, swoją wytrzymałością wypróbowaną w tylu sytuacjach.

Uciekał już przeszło dwa miesiące, zawsze kierując się ku zachodowi słońca. Przebiegał niekończące się połacie stepów, ciągle klucząc dla uniknięcia posterunków Kozaków. Pokonywał niebezpieczne i kręte przełęcze wysokich gór, stale przybliżając się do środkowych obszarów Imperium Rosyjskiego, nad którymi policja sprawowała tak szczegółowy nadzór. Nareszcie, prawie cudem uniknąwszy spotkań z policją, w których mógłby postradać życie, mógł zawołać: „Granica inflancka... nareszcie granica!”

Lecz czy za tą granicą był kraj gościnny, do którego wygnaniec powraca po latach, by niczego się już nie obawiać? Czy była to ojczyzna, która zapewni mu bezpieczeństwo, gdzie z otwartymi ramionami czeka na niego rodzina, gdzie oczekują jego przybycia żona i dzieci – o ile nie zamyślił ich zaskoczyć niespodziewanym powrotem, by sprawić tym większą radość?

¹ W oryginale fr. *khalat* – właściwie powinno być *khalat*.

² *Wiorsta* – dawna rosyjska miara długości równa 1,066 km.

Niestety! Ta kraina była tylko kolejnym etapem na drodze ucieczki zbiega, który starał się dotrzeć do najbliższego portu morskiego, gdzie mógłby wsiąść na jakiś statek, nie budząc niczych podejrzeń. Bezpieczny będzie dopiero wtedy, gdy wybrzeże inflanckie zniknie za horyzontem.

„Granica” – tak powiedział ów człowiek. Ale co to była za granica, skoro nie wyznaczał jej ani bieg rzeki, ani wznoszący się łańcuch górski, ani też zwarty kompleks leśny? Czyżby nie istniał żaden zarys tej linii, dający się określić geograficznie?

W istocie istniała tu jednak granica oddzielająca Imperium Rosyjskie od trzech guberni: Estonii, Inflant³ i Kurlandii, znanych pod ogólną nazwą guberni nadbałtyckich⁴. W tym miejscu była to linia przecinająca z północy na południe jezioro Pejpus – stała zimą, a płynna latem.

Kim był ten zbieg, mający około trzydziestu czterech lat, wysoki, silnie zbudowany, o szerokich ramionach, potężnym torsie, mocnych nogach i zdecydowanym chodzie? Spod kaptura nasuniętego głębooko na głowę wysuwała się gęsta, jasna broda, a gdy czasami podmuch wiatru odchyłał kaptur, można było dojrzeć dwoje żywych, błyszczących oczu, których blasku nie zdołał przyćmić mroźny wicher. Jego lędźwie otaczał pas z szerokimi zakładkami, ukrywającymi cienką skórzaną sakiewkę, w której trzymał cały swój majątek, ograniczający się do kilku papierowych rubli, co z pewnością nie wystarczyłoby na dłuższą podróż. Wyposażenia dopełniał sześciostrażłowy pistolet, nóż schowany w skórzaną pochwie, torba, w której były jeszcze resztki żywności, manierka wypełniona do połowy wódką oraz solidny kij. Torba, manierka, a nawet sakiewka nie były dla uciekiniera tak cenne jak broń, której nie zaważyłby się użyć w razie ataku dzikich zwierząt albo agentów policji.

Mężczyzna wędrował tylko nocą, starając się usilnie dotrzeć niepostrzeżenie do jednego z portów położonych nad Bałtykiem lub w Zatoce Fińskiej. Aż do tej pory podczas pełnej niebezpieczeństw drogi udawało mu się bezpiecznie przemykać, chociaż z oczywistych powodów nie posiadał *podorożnej*, owego dokumentu wystawianego przez władze wojskowe, którego okazywania żądali dowódcy posterunków moskiewskiego imperium. Co się jednak stanie, gdy dotrze w pobliże wybrzeża, gdzie nadzór jest jeszcze surowszy...? Nie było wątpliwości, że powiadomiono już władze o jego ucieczce i musieli go poszukiwać z takim samym staraniem i ścigać z taką samą zaciekleścią,

³ *Inflanty* – Verne używa wszędzie nazwy *Livonie*, co tłumaczone jest także jako Liwonia, lecz zasięg terytorialny akcji powieści niejako wymusza stosowanie nazwy *Inflanty* (używanej resztą w języku polskim).

⁴ Verne używa terminu *provinces Baltiques*. Słowo *province* można tłumaczyć różnie: prowincja (jednostka podziału administracyjnego, kraina historyczna), region, okręg, obszar kraju poza stolicą; w Rosji jednak jednostkami terytorialnymi były gubernie. Z kolei słowo *Baltiques* można by tłumaczyć jako „bałtyckie”, lecz w nazewnictwie rosyjskim (a także polskim) przyjęł się termin „nadbałtyckie”.

jakby był zwykłym kryminalistą, chociaż był zaliczany do kategorii przestępców politycznych. Doprawdy, gdyby na granicy Inflanct opuściło go szczęście, tak mu do tej pory sprzyjające, jego zamierzenia spaliłyby na panewce.

Jeziro Pejpus, długie na mniej więcej sto dwadzieścia wiorst, szerokie na sześćdziesiąt, zaludniają w porze letniej rybacy, eksploatując jego zasobne w ryby wody. Żeglują się po nim, używając ciężkich łodzi, zwanych „struzami”, zbudowanych z zaledwie nieco obrobionych pni drzew i kiepsko oheblowanych desek. Przez jezioro i wpadające do niego rzeki transportuje się nimi do pobliskich miasteczek, a nawet do Zatoki Ryskiej, ładunki zboża, lnu i konopi. Jednakże o tej porze roku, kiedy wiosna bardzo się opóźniła, nie można było żeglować po jeziorze Pejpus, leżącym na wysokich szerokościach geograficznych. Po jego zamarniętej powierzchni, którą sroga zima jeszcze bardziej utwardziła, mógłby przejechać bez obawy pułk artylerii. W tym czasie była to jedynie rozległa biała płaszczyna, ze sterczącymi w centralnej części potężnymi blokami lodu i ogromnymi zatorami lodowymi przy ujściach rzek.

Tak przedstawiało się owo straszliwe pustkowie, które przemierzał pewnym krokiem zbieg. Dobrze znał te okolice, maszerował więc szybko, licząc na to, że przed wschodem słońca dotrze do zachodniego brzegu jeziora.

– Jest dopiero druga w nocy – mówił do siebie. – Mam jeszcze przed sobą ponad dwadzieścia wiorst do zrobienia i wtedy, jeżeli nic nie stanie mi na przeszkodzie, znajdę jaką opuszczoną chatę rybacką, w której będę mógł odpocząć aż do wieczora... Będąc u siebie, nie muszę już się zdawać na los szczęścia.

Wyglądało na to, że zapomniał o zmęczeniu i powracała mu pewność siebie. Gdyby nawet miał pecha i agenci ponownie wpadliby na jego trop, potrafiłby im się wymknąć.

Zbieg, bojąc się, aby przy pierwszych blaskach świtu nie dostrzeżono go na rozległej powierzchni jeziora Pejpus, podwoił wysiłki. Pokrzepił się kilkoma łykami mocnej wódki i ruszył jeszcze szybciej, nie pozwalając sobie na najkrótszy nawet odpoczynek. Toteż około czwartej nad ranem zamajaczyły mu na widnokręgu rozrzucone w nieładzie, pojedyncze, pokryte szronem sosny oraz kępy brzołek i klonów.

Był to stały ład. Czyhało tam wszakże większe niebezpieczeństwo.

Granica Inflanct biegnie przez środek jeziora Pejpus. Zrozumiałe jest zatem, że posterunków straży granicznej nie postawiono akurat na tej linii, tylko przeniesiono je na zachodni brzeg jeziora, do którego w czasie letniej pory można było dopłynąć struzami.

Zbieg wiedział o tym i nie zdziwił się wcale, zobaczywszy niewyraźnie błyszczące światelko, tworzące wyłom w zasłonie gęstych mgieł.

– Porusza się ten ognik czy się nie porusza? – pytał sam siebie, zatrzymując się przy jednym ze wznoszących się wokół lodowych bloków.

Gdyby to światło się przemieszczało, znaczyłoby to prawdopodobnie, że pochodzi z latarni oświetlającej drogę straży granicznej, patrolującej tę część jeziora. Zbieg nie musiał wcale zetknąć się z nim na swojej drodze.

Jeśliby natomiast światło stało w miejscu, znaczyłoby to, że pochodzi z wnętrza jednego z posterunków rozmieszczonych na brzegu jeziora, ponieważ o tej porze roku rybacy jeszcze nie powrócili do swoich chałup, czekając aż ruszą lody, co następowało zwykle w drugiej połowie kwietnia. Tak czy inaczej, ostrożność nakazywała kierować się na lewo albo na prawo od źródła światła, aby nie zostać zauważonym przez strażników.

Zbieg skierował kroki w lewą stronę, gdyż wydawało mu się – na ile można to było ocenić poprzez mgły, podnoszące się powoli pod wpływem rannego wietrzyka – że w tej stronie drzewa rosły gęściej. W przypadku pościgu zdołaliby może ukryć się pomiędzy nimi, a następnie znaleźć drogę dalszej ucieczki.

Zaledwie uszedł z pięćdziesiąt kroków, gdy nagle z prawej strony rozległo się donośne: „Kto tam?”.

Owo „Kto tam?”, wypowiedziane z silnym akcentem germańskim, bardzo podobne do niemieckiego *Wer da*, wywarło bardzo przykre wrażenie na tym, do którego było skierowane. Dodać trzeba zresztą, że język niemiecki był często używany w prowincjach nadbałtyckich, jeżeli nie przez wieśniaków, to przynajmniej przez mieszkańców miast.

Zbieg nie odpowiedział na owo „Kto tam?”, lecz czym prędzej upadł na łód twarzą do ziemi. Była to dobra myśl, prawie natychmiast bowiem rozległ się huk wystrzału i uciekinier niechybnie zostałby trafiony kulą prosto w pierś. Czy jednak zdoła ujść strażnikom, którzy z pewnością go zauważyli? W to, że go dojrzeli, nie można było wątpić. Świadczyły o tym krzyki i oddany strzał. Jednakże wśród ciemności i zalegającej mgły mogli pomyśleć, że im się przywidziało... Rzeczywiście, na podstawie rozmowy, jaką prowadzili, zbliżając się w jego kierunku, zbieg miał pewne prawo tak sądzić.

Ci biedacy w znoszonych żółtawo-zielonkawych uniformach, tak łatwo wyciągający rękę po napiwki, dopóki otrzymują nędzne zarobki wypłacane przez *tamożnę* – rosyjski urząd celny – należeli do jednego z posterunków rozmieszczonych nad jeziorem. Było ich dwóch i wracali właśnie na miejsce postoju, kiedy wydało im się, że zauważyli między bryłami lodu niewyraźny cień.

– Jesteś pewny, że kogoś widziałeś? – spytał jeden.

– Tak – odparł drugi. – Jakiś przemytnik, który chce się przekraść do Inflant...

– Nie pierwszy tej zimy i z pewnością nie ostatni. Myślę, że udało mu się zbiec, skoro nie znaleźliśmy jego ciała!

– No cóż... – odezwał się ten, który strzelał. – Trudno trafić przy takiej mgle. Szkoda, że go nie zastrzeliłem. Przemytник ma zawsze przy sobie pełną manierkę. Jako dobrzy towarzysze podzielilibyśmy się z nim...

– A gdyby miał jeszcze coś, czym dałoby się napęłnić żołądek! – dodał drugi.

Strażnicy kontynuowali poszukiwania, bardziej niewątpliwie zęceni myślą o pokrzepieniu się dużą porcją wódki niż chęcią ujęcia jakiegoś tam przemytnika. Byłby to zupełnie niepotrzebny wysiłek.

Gdy tylko zbieg się upewnił, że oddalili się dostatecznie daleko, natychmiast ruszył w dalszą drogę, kierując się ku brzegowi jeziora, i jeszcze przed wschodem słońca udało mu się znaleźć schronienie w opuszczonej słomianej chacie, położonej trzy wiorsty na południe od posterunku straży.

Ostrożność nakazywała niewątpliwie czuwać przez cały dzień, obserwować, być stale gotowym na jakieś nieprzewidziane zdarzenie, a nawet przygotowanym do ucieczki, gdyby strażnicy zaczęli prowadzić poszukiwania w pobliżu chaty. Jednakże człowiek ów, dotąd tak wytrzymały, teraz, złamany zmęczeniem, nie zdołał się oprzeć ogarniającej go senności. Ułożył się zatem w kącie chaty, okrył kaftanem i zasnął głęboko. Sporo czasu upłynęło, zanim się wreszcie przebudził.

Była trzecia po południu. Na szczęście strażnicy nie zamierzali wcale opuszczać swego posterunku, zadowolili się jednym strzałem oddanym w nocy, będąc prawie zupełnie przekonanymi, że zaszła pomyłka. Zbieg mógł się tylko cieszyć, że udało mu się uniknąć pierwszego niebezpieczeństwa przy przekraczaniu granicy swego kraju.

Ledwo się obudził, zabrał się natychmiast do jedzenia, zadowolony, że zaspokoił potrzebę snu. Zapasy żywności, które miał w torbie, mogły mu starczyć zaledwie na jeden lub dwa posiłki. Należało je jak najszybciej odnowić przy najbliższej okazji, tak samo jak napęłnić manierkę wódką, której ostatnie krople przed chwilą wysączył.

– Wieśniacy nigdy mnie nie zawiedli – mówił do siebie – a mieszkańcy Inflant mnie, podobnie jak oni Słowianina, nie zostawią w biedzie!

Miał rację, lecz nie mógłby na to liczyć, gdyby niepomyślny przypadek zawiódł go do karczmy zarządzanej przez karczmarza pochodzenia niemieckiego, co często się zdarzało w tych okolicach. Taki z pewnością nie ugościłby Rosjanina w podobny sposób jak wieśniacy imperium moskiewskiego.

Nie potrzebował zresztą uciekać się do ludzkiego miłosierdzia. Przecież miał jeszcze w zanadru kilka rubli, które powinny wystarczyć na pokrycie wydatków aż do końca podróży, przynajmniej na terenie Inflant. Wszystko to prawda, lecz jak się dostać na statek? Nad tym zastanowi się później. Teraz najważniejszą sprawą było nie dać się złapać i dotrzeć do jakiegoś portu po-

łożonego w Zatoce Ryskiej lub innej części Bałtyku. Na dotarcie do tego celu musiał spożytkować wszystkie swoje siły.

Jak tylko uznał, że zrobiło się już dostatecznie ciemno – a było to około siódmej wieczorem – opatrzył swój rewolwer i opuścił chatę. W ciągu dnia wiatr zaczął wiać z południa. Temperatura podniosła się do zera stopni, a na warstwie śniegu pojawiły się ciemne plamy zapowiadające rychłą odwilż.

Okolica przedstawiała się dość monotennie. Jak okiem sięgnąć rozciągała się równina, a tylko na północnym zachodzie ukazywało się kilka wzniesień, których wysokość nie przekraczała stu do stu pięćdziesięciu metrów. Poruszanie się po takich rozległych płaszczyznach nie przedstawiało żadnych trudności dla piechura, chyba że odwilż uczyniłaby tę ziemię chwilowo niedostępną, czego zbieg mógł się obawiać.

Ważną rzeczą było więc dostać się do portu, a gdyby lody ruszyły wcześniej niż zazwyczaj, byłaby to sprzyjająca okoliczność, gdyż można by skorzystać z drogi wodnej.

W odległości piętnastu wiorst od jeziora Pejpus leżało miasteczko Ecks⁵, w okolicy którego zbieg dotarł przed szóstą rano, lecz zachowując ostrożność, postanowił je ominąć. Wolał się nie narażać na spotkanie z agentami policji, na pytania o dokumenty, które z pewnością wprawiłyby go w zakłopotanie. Wcale też nie zamierzał szukać w miasteczku schronienia, które w końcu znalazł wiorstę dalej, w starej, porzuconej ruderze, gdzie spędził cały dzień. Około szóstej wieczorem ruszył w dalszą drogę, kierując się na południowy zachód, w stronę wypływającej z północnego krańca jeziora Watzjero⁶ rzeki Embach⁷, do której dotarł po przejściu jedenastu wiorst.

W tym miejscu, zamiast przedzierać się przez gęsto rosnące nad brzegiem olchy i klony, zbieg wybrał łatwiejszą drogę po lodzie, który trzymał się jeszcze dość mocno. Wówczas z nisko położonych chmur zaczął padać dość ulewny deszcz, powodując rozmiękczenie śnieżnej pokrywy. Symptomy nadchodzącej odwilży były aż nadto widoczne i bliski był dzień, gdy lód zacznie pękać na powierzchni jezior i rzek tej krainy.

Zbieg szedł szybkim krokiem, chcąc jeszcze przed świtem dostać się na cypel jeziora. Do przebycia miał prawie dwadzieścia pięć wiorst, co było dużym wysiłkiem dla człowieka tak umęczonego. A przecież tej nocy miał pokonać łącznie około pięćdziesięciu wiorst, czyli nieco ponad dwanaście mil francuskich⁸. Wraz z nastaniem dnia zamierzał przeznaczyć dziesięć godzin na tak mu potrzebny odpoczynek.

⁵ *Ecks* – miasto w Estonii, obecnie Esti (Asti).

⁶ *Watzjero* (niem. Wirzsee, właśc. Võrtsjärv) – jezioro w południowej Estonii, o powierzchni 270 km kwadratowych.

⁷ *Embach* – niemiecka nazwa rzeki Emajõgi (w języku estońskim „Matka Rzek”), która wypływa z jeziora Võrtsjärv, płynie poprzez prowincję Tartu i wpada do jeziora Pejpus.

⁸ *Mila francuska* (metryczna, *lieue*) – miara długości równa 4 km.

Ogólnie rzecz biorąc, deszczowa pogoda całkowicie nie sprzyjała poczynaniom zbiega. W mroźnym i suchym powietrzu maszerowałby łatwiej i szybciej. Co prawda po gładkiej lodowej powierzchni rzeki mógł stąpać pewniej niż po rozmiękłych, błotnistych i urwistych brzegach, lecz odzywające się tu i tam głuche trzaski, pojawiające się pęknięcia i szczeliny wskazywały, że wkrótce utworzą się kry i zaczną spływać z nurtem rzeki. Człowiek poruszający się pieszo mógłby przebyć rzekę jedynie wplaw. Biorąc to wszystko pod uwagę, należało rzadziej odpoczywać.

Mężczyzna wiedział o tym doskonale i starał się wyzwolić w sobie dodatkowe zapasy energii. Otulił się szczelnie kaftanem, co chroniło go przed ostrymi podmuchami wiatru. Buty miał porządne, niedawno naprawione, a podeszwy, wzmocnione wbitymi w nie dużymi gwoździemi, pozwalały na swobodny marsz po śliskiej powierzchni lodu. Ponadto nie musiał szukać drogi wśród ciemności, Embach bowiem prowadziła go prosto do wyznaczonego celu.

Do trzeciej nad ranem przeszedł dwadzieścia wiorst. Za dwie godziny, jeszcze przed świtem, znajdzie zapewne miejsce na odpoczynek. Tym razem jeszcze nie chciał ryzykować, by zejść do jakiegoś miasteczka i szukać schronienia oraz posiłku w oberży, gdyż miał zapasy na cały dzień. Wystarczy mu jakiegokolwiek schronienie, byle miał aż do wieczora zapewnione bezpieczeństwo. W lasach otaczających północny kraniec jeziora Watzjero natrafi z pewnością na chaty drwali, niezamieszkane podczas zimy. Wystarczy mu nieco węgla, który znajdzie w chacie, i suche gałęzie, aby rozpalić suty ogień, przy którym ogrzeje – jeśli można się tak wyrazić – i duszę, i ciało. Nie musiał się także obawiać, że na tym rozległym pustkowiu zdradzi go dym z ogniska.

Tegoroczna zima była doprawdy bardzo ciężka, lecz właśnie jej srogość sprzyjała zbiegowi podczas ucieczki przez rosyjską ziemię!

A zresztą – czyż zima nie jest przyjacielem Rosjan i czyż oni – według słowiańskich podań – nie są pewni jej gruboskórnej, ale zawsze, przyjaźni?

Nagle od strony lewego brzegu Embach rozległo się przeraźliwe wycie. Mogło to oznaczać tylko jedno – to było wycie dzikiego zwierza znajdującego się kilkaset kroków od zbiega. Zwierz ten zbliżał się czy oddalał? Ciemności nie pozwalały na dokładną ocenę sytuacji.

Mężczyzna zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Podwoił czujność, nie chcąc dać się zaskoczyć. Wycie powtórzyło się kilkakrotnie, za każdym razem coraz silniejsze. Niebawem odpowiedziały mu inne głosy. Nie było wątpliwości – brzegiem rzeki pędziło stado dzikich zwierząt, które wyczuły może obecność człowieka. Ponieważ ten ponury koncert rozlegał się z taką gwałtownością, zbieg był przekonany, że wkrótce zostanie zaatakowany.

– To wilki... – szeptał. – Są coraz bliżej...

Położenie było nadzwyczaj groźne, wilki bowiem, wygłodzone w czasie surowej zimy, są straszne. Człowiek śmiały i silny, który potrafi zachować zimną krew, mając tylko mocny kij w ręce, nie musi się obawiać pojedynczego osobnika. Trudno się jednak opędzić od bandy złożonej z pół tuzina takich bestii, mając do dyspozycji pistolet, tym bardziej że przecież nie każdy strzał zabija.

Nie można było nawet marzyć o znalezieniu jakiegoś schronienia, aby uniknąć starcia. Brzegi Embach były niskie i obnażone. Ani jednego drzewa, na które można by się wdrapać. Gromada wilków znajdowała się o pięćdziesiąt kroków. Jedynym ratunkiem było uciekać co sił w nogach, ponieważ nie było zbyt wielkiej nadziei na to, by oddalić się od tych żarłocznych zwierząt, następnie zatrzymać się i stawić czoła ich atakowi. Tak postąpił zbieg, lecz wkrótce zrozumiał, że wilki znajdują się tuż-tuż, usłyszał bowiem ich wycie o jakieś dwadzieścia kroków za sobą. Zatrzymał się i rozejrzał wokół. Wydawało mu się, że ciemności rozświetlają błyszczące punkciki, żarzące się jak gorejące węgielki.

Były to ślepiea wilków – tych wilków zmizerowanych, wychudzonych, które długi post uczynił jeszcze bardziej dzikimi, spragnionymi łupu znajdującego się w zasięgu ich zębów.

Zbieg obrócił się w kierunku stada, trzymając w jednej ręce pistolet, a w drugiej kij. Lepiej jednak było nie używać broni palnej, gdyby wystarczył tylko kij, bo huk strzałów mógł zwrócić uwagę agentów policji patrolujących ten rejon.

Mężczyzna zapał się mocno nogami i oswobodził ramiona od ściskającego je kaftana. Wywinął kijem szybkiego młynca, zatrzymując te spośród wilków, które zbliżyły się do niego, a jednego z nich, chcącego mu skoczyć do gardła, położył na miejscu.

Pozostałe zwierzęta wcale się jednak nie przestraszyły. Było ich zbyt dużo, aby zbieg mógł je zabijać kolejno, nie używając pistoletu. Zresztą za drugim razem tak mocno uderzył następnego drapieżnika w łeb, że kij złamał mu się w ręku.

Nieznajomy ponownie rzucił się do ucieczki, a kiedy pozostałe wilki ruszyły w ślad za nim, odwrócił się i strzelił cztery razy. Dwa zwierzęta, śmiertelnie ranione, upadły na lód, barwiąc go swoją krwią. Tymczasem ostatnie dwie kule chybiły celu, powstrzymując jednak pozostałe wilki w odległości dwudziestu kroków.

Zbieg nie miał czasu, by ponownie nabić pistolet, a drapieżniki znów ruszyły się za nim w pogoń. Przebiegłszy około dwustu kroków, zaczęły chwytać poły jego kaftana, których oddarte kawałki zostawały im w pyskach. Nieznajomy poczuł na sobie gorące oddechy wilków. Gdyby w tej chwili się przewró-

cił, byłoby już po nim. Nie zdołałby się już podnieść, a rozszalałe zwierzęta rozszarpałyby go natychmiast.

Czyżby wybiła jego ostatnia godzina? Doświadczył tylu ciężkich przeżyć, pokonał tyle niebezpieczeństw, doznał tylu trudów, aby dotrzeć do rodzinnego kraju – i teraz miałby pozostawić tu swe kości?

Wreszcie, przy pierwszych blaskach świtu, ujrzał kraniec jeziora. Deszcz przestał padać, a całą okolicę okrywała lekka mgła. Wilki rzuciły się na swoją ofiarę, która rozdawała razy kolbą pistoletu, na co one odpowiadały uderzeniami kłów i pazurów.

W pewnej chwili mężczyzna potknął się o jakąś drabinę. O co była oparta? W tej chwili nie miało to znaczenia. Gdyby udało mu się wspiąć na jej szczyble, bestie nie mogłyby pobiec za nim i byłyby na chwilę bezpieczny.

